

TYGODNIK ZAKOPIAŃSKI.

Nr. 14. *Z dnia 27-go września 1903 r.*

Ratujmy Poronin!

P. Uznański, właściciel Poronina, Jaszczurówki i wsi przyległych ma zamiar majątki swe sprzedać ks. Hohenlohemu. W sprawie tej obchodzącej każdego Polaka zabierała głos cała prawie prasa polska, podając rozmaite projekty ratowania zagrożonych dóbr.

Dr Karol Lewakowski występuje obecnie z projektem. aby majątki te nabyły gminy: Zakopane, Jaszczurówka, Poronin.

W liście nadesłanym przez p. Lewakowskiego do „Nowej Reformy“ czytamy:

„Nabycie dóbr p. Uznańskiego przez ks. Hohenlohego byłoby nietylko niepowetowaną klęską dla Zakopanego, jako zdrojowiska i uroczego miejsca odpoczynku, ale równocześnie kolosalnem upokorzeniem naszego poczucia narodowego, po tych szumnych słowach, jakie towarzyszyły walce z Węgrami o Morskie Oko. Jak to? Więc po tem wszystkiem, co zaszło, kiedyśmy wobec członków sądu rozjemczego przedstawiali Morskie Oko niby jako nasze Rüti, mielibyśmy w końcu pozwolić na sprzedaż Poronina z przyległościami obcym?! A przecież wydałoby to po prostu Morskie Oko, ten zakątek dotąd czysto polski, na łup obcym! Trzeba bowiem wiedzieć, że dobra hr. Zamoyskiego długim pasem ciągną się obok majątków p. Uznańskiego, z których Jaszczurówka nieporównanie bliżej leży Morskiego Oka, aniżeli Zakopane; że przez nią właśnie gościniec do Morskiego Oka przechodzi, że majątki ks. Hohenlohego również długim pasem przylegają do posiadłości p. Uznańskiego, ku Morskiemu Oku. Jeżeli tedy ks. Hohenlohe zakupi majątki p. Uznańskiego, to po prostu opanuje Morskie Oko; w Jaszczurówce postawić może hotel po europejsku urządzony i cały ruch turystów tam wprost przyciągnąć.

Taki pan bogaty, miljonowy, wie dobrze, że podobne wkłady wrócą mu się z procentem; urządzi zdrojowisko norwegskie, jeno z pewnością nie polskie. Ludność polska zostanie powoli wydziedziczoną i zastąpioną przez obcych spekulantów. Czyż to musi nastąpić? „Czas“ apeluje do p. Uznańskiego, twierdząc, że „noblesse oblige“ — ale nie podaje mu środków, w jaki sposób ma pogodzić tę „noblesse“ z obowiązkami wobec własnej rodziny. Pisze to „Czas“ z lekkim sercem, jak gdybyśmy nie mieli doświadczeń poznańskich. Jednostka nie może i nie powinna rujnować rodziny dla dobra ogółu w sprawie, która chociaż ma cechy narodowe, nie jest sprawą narodową w ścisłem słowa znaczeniu. W obecnem położeniu kraju nie może być mowy o nabyciu tych dóbr przez kraj; ale kraj powinien i może pomódz Polakom do nabycia Poronina i przyległości. Była mowa o udziałach i składkach w kraju i za kordonem, za pomocą których możnaby utworzyć towarzystwo zdrojowe w tym celu; nie wierzę, żeby się to stało. W Zakopanem zapewniali mnie górale z Zakopanego, Poronina i Jaszczurówki, że oniby sami złożyli parękroć sto tysięcy złr. na rozparcelowanie tych dóbr. Uśmiecha się tym chłopom posiadanie łąk i lasów, których nie mają. Ale ja i w takie rozwiązanie sprawy nie wierzę Bo przecież majątki p. Uznańskiego, pomimo, że są o połowę mniejsze, niż r. Zamoyskiego, dziś, po przeprowadze-

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 27 Września 1903 r.

niu kolei i szosy, potroiły się w wartości, a Zakopane w owych czasach nabyte zostało za pół miljona złr. Nie myślę się tu wdawać w ocenianie Poronina i przyległości, przypuszczam, że p. Uznański, przy możliwem rozwiązaniu sprawy, poszedłby do najdalszych granic ustępstwa, coby odpowiadało jego dotychczasowemu działaniu, jako właściciela tych dóbr i Polaka i na tem budując cały plan możliwego nabycia tych dóbr przez Polaków, pozwalam sobie rzucić myśl, aby te majątki nabyły gminy: Zakopane, Poronin i Jaszczurówka.

Każda z tych gmin mogłaby wtenczas, wyzyskując jak najdogodniej ten nowy charakter zdrojowy swoich posiadłości, działać w harmonji. — Szłoby atoli o to, ażeby Sejm krajowy przyszedł im z pomocą, wcale krajowe środki nie obciążającą. Mogłoby to nastąpić przez uchwałę sejmową, któraby Bank krajowy upoważniła do wydania specyalnych obligacyj, na lat 75 opiewających, jako pożyczki krajowej dla tych gmin, przez nie i przez Rady powiatowe gwarantowanej. Takie obligacje na 3 prc. albo $3^1/_2$ z amortyzacją wydane, mogłyby w zupełności pokryć ewentualną cenę kupna i umożliwiłyby zakupno Poronina i przyległości przez gminy najbardziej w tem interesowane, a czysto polskie. Tak możnaby z pewnością uniknąć tego skandalu, żeby w końcu przecież ks. Hohenlohe zwyciężył w walce, którą jako narodową ogłosiliśmy. Caveant Consules!“

Ks. Hohenlohe ma zamiar opanowania całego obszaru tak zwanych „Wysokich Tatr“. W tym celu zakupił on od braci Fehérów majątek w Tatrach, obejmujący 1126 morgów, za pół miljona koron i majątek ten chce odstąpić miastu Biały Spiskiej (Szepes Béla) w zamian za należące do tego miasta hale obszaru 3670 morgów.

Projekt podany przez dra Lewakowskiego wydaje się nam doskonałym. Rzeczą sejmu jest rozważyć go, pomódz do urzeczywistnienia i niedopuścić, aby ten drogi szmat ziemi naszej, leżącej u podnóża Tatr, przeszedł w wrogie, krzyżackie szpony.

Dość już tych miljonów morgów, których wyzbyliśmy się lub też z których nas wyzuto. Sprzedanie Poronina i Jaszczurówki ks. Hohenlohemu byłoby ze strony społeczeństwa naszego nietylko lekkomyślnością nie do darowania, ale wprost zbrodnią.

CZTERY DNI W TATRACH

(FRAGMENT Z WYCIECZKI)

NAPISAŁ BRONISŁAW ROMANISZYN.

(Ciąg dalszy).

„Godnie domęczeni“ stanęliśmy nad stawem Popradzkim. Jeszcze wczesna godzina, a słońce tu już zachodziło i zawisło nad turniami Baszty, zasłoniętej jakby woalem — fioletowymi oparami.

Na werandzie zastaliśmy sporo gości, gdyż staw Popradzki, tylko o godzinę wygodnej drogi od Szczyrbskiego jeziora oddalony, bywa zwykłym celem przechadzek letników z nad Jeziora Szczyrbskiego.

Pijemy podaną nam przez zgrabną „Fräulein“ kawę — piszemy kartki z widokami i przyglądamy się przepysznym efektom świetlnym zachodzącego słońca, istnym czarom, jakiemi nas natura w tem ślicznem ustroniu obdarzyła.

Przed nami leżała cicha, jasna tafla jeziora, w której odbijały się umajone kosodrzewiną brzegi, nadbrzeżne świerki i limby i wieżyska wyniosłej Osterwy. Cisza zaległa nad jeziorem, najmniejszy podmuch wiatru nie marszczył zwierciadlanej jego toni. Czasem tylko gdzieniegdzie plusnął pstrąg a coraz powiększające się koła na chwilę zakłócały spokojną toń wód. Wyniosły grzbiet Osterwy poorany ciemnemi smugami żlebów, ozłocony promieniami zachodzącego słońca tworzył kontrastowe tło do stawu, którego wody nabierały już koloru granatowego. Gdzieniegdzie jeszcze przez drzewa wdzierające się promienie słoneczne muskały zwierciadlane wody stawu i nadawały im barwę mieniących się opali. W miarę zniżania się tarczy słonecznej, znikały jasne plamy z ścian, upłazów, turni, ustępując miejsca fjoletowym cieniom. A jezioro coraz więcej tonęło w mroku i przybierało coraz ciemniejsze barwy.

Tu i owdzie nad szczytami zawisło kilka lekkich, różowo oświetlonych chmurek, które przypominały gasnący słoneczny dzień.

* * *

Opuszczamy brzegi jeziora i ruszamy w drogę, uroczą, wygodną, jakby w jakimś parku poprowadzoną ścieżką ku „Szczyrbskiemu“. Sciežka wije się to wśród kwiecistych łąk i polan, to znów zapada w ciemne lasy. Szybko i miło schodzi nam czas na ożywionej pogawędce. Mijamy potok i nagle wyszedłszy z lasu, mamy przed sobą olbrzymią taflę wód Szczyrbskiego jeziora z nadbrzeżnemi willami, hotelami, domkami.

. . . .

Zastaliśmy tu niebywały tłok i gwar, gdyż jak się później dowiedzieliśmy, zepsuła się tego wieczoru lokomotywa kolei zębatej skutkiem czego ruch kolejowy zatrzymano aż do następnego ranka.

Wiele osób chcących odjeżdżać, musiało zatrzymać się nad jeziorem i szukać noclegu w willach i hotelach.

Wysłaliśmy przewodnika na szukanie noclegu a sami tymczasem wyszliśmy nad jezioro.

Słońce już dawno zapadło za lasy gdzieś koło Krywania. Szczyty gór zacierają się we mgle wieczornej i stają się jakieś dalsze, wyższe, tajemnicze... Ziemia, niebo, góry i lasy, wszystko zalane ciemnym fioletem, tonie w mroku.

Jezioro Szczyrbskie nie przygniata duszy ogromem, nie przeraża potęgą olbrzymią, nie smuci pustką i dzikością, lekkie, strojne, pieści, raduje, jakiś uśmiech radosny, jakiś błogi spokój, zapomnienie się, na serce sprowadza.

Widziałem jezioro Szczyrbskie kilkadziesiąt razy w rozmaitych porach dnia i miałem sposobność ocenić, kiedy się ono najpowabniej przedstawia.

Piękne jest jezioro w słoneczny dzień, kiedy pod niebieskim namiotem bezchmurnego nieba, spokojne, czyste, nieruchome, czary swoje naokół roztoczy, kiedy w blaskach słonecznych zalśni całym przepychem ognistych barw tęczy. Igrają wtedy jego tonie, jak dziecko swawolne, to przybierając jaskrawe szaty, iskrzące się od słońca to rozpościerając na swej powierzchni różnobarwne smugi, mieniące się opalowymi tonami tęczy. Piękne jest wtedy jezioro, gdy zalśni całym przepychem świeżej, soczystej zieleni, mieniącej się różnokolorowymi odcieniami drzew i krzewów: od zielonych smreków i limb i ciemniejszej kosodrzewiny aż do ciemnych szafirów uciekającej w dal gęstwiny leśnej. A w dali, nad tajemniczym i głuchym amfiteatrem lasów i kosodrzewin piętrzą się fantastyczne błyszczące w słońcu szczyty Tatr, tworząc cudownie malowniczą, bez końca rozmaitą panoramę.

Piękniejsze jest jednak jezioro w jasną księżycową noc, kiedy wszystkie gwiazdy w jego toniach się przeglądają, a księżyc jego wody osrebrzy, kiedy mgły srebrne z wód wyjdą, i nad jeziorem niby duchy lub topielice się unoszą... I zdaje się wtedy, że i te wody jeziora i topiące się w srebrzystem świetle księżyca świerki i limby nadbrzeżne są jakby w spowiciu sennem — rozkosznem, marzącem, jakby kochankowie w blaskach księżyca bez słów, z piersią od szczęścia do łez — do bólu wezbraną...

Cisza... Tylko księżyc płynie, tylko las nieskończoną swą baśń opowiada wiecznie tę samą, a tak ciągle różną, tak prostą, a tak tajemniczą, i niezrozumiałą...

W taką noc i w takiem ustroniu byliśmy wtedy....

* * *

Doleciały nas dalekie tony muzyki. To cygańska muzyka rozpoczęła koncert. Pospieszyliśmy do gospody, obiecując sobie jeszcze tu wrócić później i użyć przejażdżki łodzią po jeziorze.

Olbrzymia sala restauracyjna, mogąca pomieścić z 300 osób przy stole, drżała cała od potężnych tonów licznej muzyki cygańskiej, która jakby powiewem szalonego wichru, wstrząsającym liśćmi, to rzewnie płaczącym, to gniewnym i namiętnym napełniała salę. Nie znam muzyki, nie znam melodji, któraby tak działała na nerwy, tak porywała, jak prawdziwa cygańska muzyka, jak oryginalna cygańska melodja. To dalekie, bezgraniczne rozlewanie się tonów, ta nieskończoność całości, ten niejako brak planu, ten charakter improwizacyjny i dziki, ma w sobie coś oryginalnie uroczego i porywa bez oporu umysł w sferę działań nieokiełznanych żywiołów, gdzie wiatr to rozmawia ze skałami lub igra z drzewami, to burzy wszystko wśród szału, gdzie samotna cyganka marzy przy huku górskiego potoku, lub zawodzi jakąś dziką, namiętną pieśń...

Grają tańce cygańskie. Płynie zrazu jakaś bezdennie smutna i rzewna melodja, niby tęskna dumka ukraińska przed wesołą kołomyjką. Grający cygan, zdaje się, przelewa cały swój płacz, boleść, jakąś rzewną tęsknotę i smutek w swe skrzypki, które w bajecznej czystości najtkliwsze, łkające tony powtarzają. I ta rzewna melodja, wydająca się mi jakąś duchową rozmową artysty ze skrzypkami, jakąś skargą, prośbą o współczucie, przechodzi niespodziewanie w inną fazę, w jakąś dziką, szaloną wesołość, w jakiś bezgraniczny szał, rytm przechodzi w szalone „presto“, cały nastrój staje się dzikim, nieokiełznanym, wojowniczym. Brzmi jakby wezwanie do zaciętej morderczej walki wspaniały marsz Rakoczego.

* * *

I zdaje się, że ten cygan zapomina teraz o tem co go boli, zapomina o rzewnym smutku i tęsknocie, jaką łkały jego skrzypki na początku, zdaje się, że wpadł w jakąś szaloną, obłąkaną wesołość... gdy tymczasem i z tych wesołych na pozór i skocznych melodyj płynie jakiś nieokreślony smutek... tęsknica...

Siedziałem, porwany tym dziwnym wirem tonów, które mnie jakby w inny fantastyczny świat przeniosły. Dusza mimowoli rwała się, ręce chwytały za skrzypki, by i swoim smutkiem i swoim bólem z niemi, jakby z najlepszym przyjacielem się podzielić...

Zdaje się, że największy filister mógłby całemi godzinami przysłuchiwać się tym porywającym melodjom, nie czując bynajmniej zmęczenia lub przesycenia grą... (D. n.).

KRONIKA.

Śniegi w Alpach. Donoszą nam, że w Alpach spadły obfite śniegi. Na Szeidek, leży śnieg na na pół metra; wogóle wszystkie szczyty pokryte grubą warstwą śniegu.

U nas w Zakopanem tymczasem liczni nowo przybyli kuracjusze, cieszą się przepyszną pogodą, prawie włoskiem słońcem. Po bardzo chłodnej nocy następuje dzień rozkoszny; term. w słońcu pokazuje 35—39 % C.

Babskie lato rozpoczęło swoje panowanie. — Wycieczek bez liku, jakby w głównym sezonie.

Ruch gości znaczny.

Zima zapowiada się świetnie tak pod względem pogody jak i gości.

Na wystawę miejsc kuracyjnych w Wiedniu wysłał dr Dłuski artystycznie wykonany model swego sanatorjum. Dla uwidocznienia specjalnej budowy sanatorjum (okna wszystkich pokojów wychodzą na południe), wykonano prócz modelu całego budynku, poziome przecięcie pierwszego piętra. Liczne fotografje ilustrują wewnętrzne urządzenie wytwornego zakładu.

Oryginalna para. Podobno z końcem bieżącego miesiąca, mają przybyć do Zakopanego rodowici Boerzy, małżeństwo Slema. Brali oni czynny udział w walce z Anglikami, — po wojnie zrujnowani materjalnie, puścili się w podróż po Europie w celu dawania przedstawień celnego strzelania. W istocie państwo Slema dokazują cudów zręczności. Przyjmowano ich wszędzie z wielkim zapałem nietylko jako mistrzów w swej sztuce, lecz także jako przedstawicieli dzielnego a pokrzywdzonego narodu.

Schronisko przy Morskiem Oku. Wydział Towarzystwa tatrzańskiego w Krakowie wnosi prośbę do Sejmu krajowego o zakupno za kwotę 40.000 koron akcyj na budowę Schroniska przy Morskiem Oku. Wydział Tow. uzasadnił w prośbie, że po ukończeniu drogi krajowej do Morskiego Oka, zjeżdża tam coraz więcej osób, a ten wielki ruch daje rękojmię, że pieniądz, wyłożony na budowę Schroniska, nie będzie ani martwym, ani straconym kapitałem, lecz przeciwnie, przyniesie pewien zysk materjalny. Oprócz tego, w tym właśnie punkcie, po uregulowaniu granicy, stanie budynek, odpowiadający wszelkim wymogom turystów.

Wydział Tow. tatrzańskiego rozwinął żywą akcję około sprzedaży akcyj i rozesłał je do Warszawy, Lwowa i Poznania, oraz do większych miast w kraju. Do sprzedaży należałoby też posłużyć się instytucją delegatów Towarzystwa, przyczem zachodzi potrzeba powiększenia liczby delegatów i powołania dalszych nowych sił na to stanowisko.

W Krakowie, wydział Tow. oddał sprzedaż akcyj kantorom bankierskim p. Alberta Mendelsburga i p. Augusta Raczyńskiego, filji Banku krajowego i handlowi p. Wentzla. Akcje nabywać też można w biurze Tow. tatrzańskiego przy ul. Zwierzynieckiej l. 9.

W Zakopanem nabywać je można u p. Wiktora Ciechomskiego (Spółka handlowa) i u p. dra Z. Czaplickiego.

Sprzedażą akcyi zajęła si; także Kasa Oszczędności miasta Białej.

KAZIMIERZ PRZERWA TETMAJER.

Franek Seliga i Pan Bóg.

Był chłop, Franek Seliga, na bani w Magórze robił; rudę kopał. Piękny był taki, że kiedy wsią szedł, kobietami potrząsało. Dumny też był z tej urody strasznie, rozzuchwalony, a jeszcze i z tego się pysznił, że się ze szlachty wywodził, bo takie jest opowiadanie o Seligach i Zychach z Witowa.

— Jo jest ze ślakty — mówił.

— E, jesce wte cygani nie kradali, kieś ty ślakcice béł! — śmiali się z niego.

I był w Kuźnicach pan Walewski, rachmistrz, który miał córkę Anielcię, tak śliczną, jakiej jeszcze na świecie nie było. Spodobała się ta panna Walewska Frankowi Selidze.

— Ta by się ku mnie równała — mówił — teloz by nos z jednego saka wyjeni, jak dwa pstrągi.

I co już pierwej elegant był, to teraz temu miary zaczęło niebyć. Czucha na nim czarna, długa, szeroko czerwonym sznurkiem bramowana, portki niebieskim sznurem w dziewięcioro wyszyte, kiedy najgrubszy gazda jak już w pięcioro dał wyszyć, to się sam po sobie oglądał; kyrpce jasne, żółte, kapelusz z maleńkiem skrzelem z kostkami, pióro z głuszca za nim. Do kościoła do Nowego Targu w niedzielę panna z ojcem jeździła, tam Franek Seliga taki strojny chodził. Najgorzej, kiedy było błoto, bo już nie wiedział, jak iść,

Więcej uskoczył z kamienia na kamień, niż upiętkował. Ale on był lekki.

Ustał pić, ustał palić, nic, tylko pieniądze składa, a stroi się. A w kościele u świętej Anny w mieście, żeby niewiedzieć ile ludzi było, potrafił on się przepchać ku ławce, w której panna Walewska z ojcem siadała.

Już tam Panu Bogu on się wtedy nie uprzykrzył. Mało wiedział gdzie jest, tylko se głowę podźwigował w górę, że to jest taki cudowny, a popatrywał na pannę. Ona się też ku niemu czasem z nad książki spoglądnęła.

A Franek sobie to najlepiej tłomaczył, bo strasznie podufały i wszystko o sobie trzymający był.

— Zalubiła mie — mówi — niémogło inacyj być.

— Wto?

— Janiela.

— Jako Janiela? Mostowego?

— Baj to!

— Wietrznego Kuby?

— Baj to!

— Krzeptowsko?

— Baj to!

— Ze to wtoroz by haw była? Maćkowej Bronci wydano, Staseckula wydano, na Gładkiém obstarnio, nie ku tobie — — je kaześ ty haw jesce wtorom Janiele naloz?

— To je niejest dziéwka, to je jest panna.

— Panna?

— Panna.

— E dyś ty hłop.

— Baj to! Jo jest ze ślakty.

— Hej! Z takiej, co z obory wykiduje!

— Niekze ta!

— Ale powidze, Franek, nie gadoj głupstwów: wtoroze to ta Janiela, co cię zalubiła?

— Walewsko?

— Z Kuźnic?

— Ba haj.

— Cyś ogłupioł?

— Nie ogłupiołek.

— Ona by cię miała zalubić?

— A ino.

— Cy cię odymiło?!

— Nie odymiło mię ta nijako.

— A hojby i tak béło: bees jom to brał?

— Bedem.

— Eć! Dadzom ci jom! Kiebyś choć organistym był, albo cosi kajsi. Ale coześ ty? Sprosty hawiorz i telo.

— Alek pikny do cudu.

— No jużci prowda, to ci nima co pedzieć, dyabeł sie tobom nie ocielił, ale skądze wies, ze cię zalubiła?

— Poziéro ku mnie.

— Iści! To i liska poziéro na grule, a nie bedzie ik jadła.

Przyjdzie Franek do Kuźnic w sobotę po wypłaty, czy kiedy, to już tak wypatruje, to już tak śtuderuje, czyby jako tej Anielci nie zobaczyć? Bo i ona się jemu strasznie w serce zakradła. No i tyle wyśpekulował, że się do niej przecie nabliżył i czasem nie czasem jakieś słowo przepowiedział. Ona to choć niby panna była, to tam znowu bardzo od niego nie odlatywała; w sukienczynie tylko w niedzielę i w święto chodziła, zresztą spodnica na niej zwyczajna, na głowie chustka, a buty ta też nie zawsze pod nią cupkały.

Boso się jej zdarzyło wylecieć nie raz i nie dwa. Tylko że jej już nie można było mówić Anielciu, ale panno Anielo, bo ojciec za rachmistrza służył i tak przykazywał.

Póki to tak było na daleko, że się tylko ku sobie spoglądali, to nic, ale poszła raz Anielcia



ZWALISKA ZAMKU W LANCKORONIE.

na borówki w Olczysko w jedną niedzielę i tam się za nią Franek Seliga przekradł, bo on do tego jedyny był. Hej! były już usta na ustach, ręce po za plecy — — wydarła się.

Dopiero się teraz Franek Seliga wściekł, bo się tego jeszcze dowiedział przy tem, że onaby się za niego i wydała, tylko żeby ojciec pozwolił.

Ale nie upłynęło parę dni, potrafiła mu Anielcia odkazać, że ojciec ani słyszeć o niczem nie chce, że jej upatrzył krawca w Sączu i że tam ją wyda za mąż. I tak jeszcze powiedział, że choćby mu się świat cały do nóg walił, to go to, nie zmieni i na Pana Boga się przysiągł, że z tego nic nie będzie. Gniewał się strasznie, krzy-

czał, powiedział, że ją do lamusa zamknie, gdzie pieniądze chowali, a Franka jak psa zastrzeli, żeby się tylko nablizył.

I czy ją do lamusa zamykał, czy gdzie indziej, dość, że jej od tego czasu Seliga nie widywał, a tylko przez służącą wiedział, że ona go kocha i że do niego tęskni.

Bardzo mu to pochlebiało, ale go i żal brał okrutny za nią.

I tak mu jeszcze odkazała, że ludzie tu nie pomogą, chyba Pan Bóg.

— Hej wiera! — myśli Franek — Dy Pon Bóg wsekmocny, kiebyk Go pilnie popytoł, cyby mię tyz jako nie spar w tyj biedzie?

Nie było kościoła blizko, jeden w Chochołowie, drugi w Nowym Targu, ale była kapliczka murowana z mosiężnym daszkiem, a oko Opatrzności w niej, wyrobione z drewna i pomalowane. Stało to przy drodze.

Idzie Franek ku kapliczce, zdejmując kapelusz, klęka i tak się modli: Panie Boze, jakbyś mi do pomóg w tym stropieniu, to jo Ci telo śrybła do kościoła w mieście okfiarujem, kielo do obu garści nabierem. Zkąd bedzie to bedzie, cy ze ziemie wykopiem, cy z morza wyłowiem, cy z Luptowa prziniesem, cy z kase homerskiéj ukradnem, to się Ty juz o to nie staroj. Nie Twoja głowa w tém, ino moja. Tyś ta jest wsekmogoncy, to Ty to w ocymieniu sprawić mozes, kiebyś ino fcioł, ale jo juz i do tyźnia pocekom, cobyś ino sprawił, a pytom Cię barz piknie, odmień serce w panie Walewskim, coby się nom nie prociwiéł. Amen.

Wstał i poszedł.

Kopie rudę, kopie, czeka, ale nic. Tyle mu służka doniosła, kiedy w sobotę z bani zeszedł na dół, że się pan Walewski jeszcze raz rozgniewał na córkę, że ją i wybił po plecach „lajśtokiem".

Tydzień właśnie minął.

Idzie Franek znowu pod kapliczkę, klęka, zdejmuje kapelusz i tak mówi: Panie Boze, tydzień minon. Cok prziobiecoł, dotrzimiem. Jakeś ta moze cémsi iném zatrudniony béł, niekze jesce bedzie do tyźnia. O tydzień zaś zéjndem z banie dołu. Barz Cię pieknie pytom, ale nie śpasuj, bo se mnom spasów niéma. Kiebyk niewiedzioł, ze sytko mozes, tobyk Cię na telo nie nukał, ale kie mozes, to mozes, uróbze, bo tu przecie nie idzie o nic, ino o scęście. Amen.

Upłynął tydzień, nie dowiedział się Franek Seliga, aby się serce w panu Walewskim odmieniło.

Idzie trzeci raz ku kapliczce, klęka, zdejmuje kapelusz i mówi: Panie Boze, kiebyk ku Tobie z próżnemi rencami sed, to hej, ale dyjek Ci przecie prziobiecoł i dotrzimiem, ino się haw robota w jesieni skońcy. Nie trza długo cekać. Wiemy juz o jednym zydku przi Popradzie, w harendzie. Pytom Cię barz piknie i zaś Ci jesce tydzień przicyniem, ale nie śpasuj, bo se mnom śpasów niema. Amen.

Wyczekał się Franek; nic.

Idzie tedy czwarty raz ku kaplicy, zdejmuje kapelusz, ale już nie klęka i mówi: Panie Boze! Coześ tak na uwziętego se mnom? Nie bedem Cię juz pytoł więcyl, bo widze: darmo. Wadził się tyz s Tobom nie bede, boś na niebie, wysoko, a jo nie oreł.

Ale ci nic nie okfiarujem, a jesce ci na despet zrobiem, kieś taki nie usłuhany. Kie na uwziętego między nami, to jo ta tyz cosi kajsi worcem!

Ułożył kopczyk z kamieni, wyspinał się, podważył ciupagą daszek i strącił go z kapliczki na ziemię.

(Opowiadanie to wyjmujemy z przepięknej książki Kazimierza Tetmajera „Na skalnem Podhalu", która wyszła w Warszawie, nakładem Gebethnera i Wolfa. (Przyp. Red.)

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

Nie chciałem wejść z obawy, iżby nagłem ukazaniem swojem nie zniweczyć planów pani i nie zwichnąć całego jej przedsięwzięcia. Stałem więc tylko na straży. Ach! panno Racksole, zachowanie twoje było godne podziwu! Nie straciłem ani jednego słowa, gdyż okno trzymałem uchylone. Czułem, że nie potrzebujesz mojej pomocy. Panna Spencer, podszedłszy cię niegodnie, wyrzuciła rewolwer na podwórze; podniosłem go w przekonaniu, że przydać się może jeszcze. Nastała chwila milczenia; nie domyślałem się, żeś pani zemdlała; przypuszczałem, iż odeszłaś frontowemi drzwiami; gdym dowiedział się prawdy, na wystąpienie w twej obronie było zapóźno. Prócz panny Spencer, znajdowało się dwóch innych, zdecydowanych na wszystko łotrów.

— Kto był ten drugi? — spytała Nella.

— Nie wiem. Gruba ciemność panowała dokoła; zabrali panią i zawieźli do przystani. Ja znowu podążyłem za tobą. Widziałem, jak cię przenosili na statek; zanim yacht podniósł kotwicę, niepostrzeżenie ukryłem się w łodzi, uczepionej

w tyle. Leżałem wyciągnięty wzdłuż burtu i nikt nie domyślił się obecności mojej. Reszta już pani wiadoma.

— Czy yacht był gotowy do drogi?

— Zupełnie gotowy; para buchała z kotła, a kapitan siedział przy sterze.

— Czekali zatem na mnie? Czy to podobna?

— Niewątpliwie czekali na kogoś; nie przypuszczam jednak, iżby na panią.

— Ten drugi człowiek wszedł również na statek?

— Pomógł tylko przenieść cię i wrócił jako stangret do powozu.

— Nikt inny nie widział całego zajścia?

— Wybrzeże o tej porze puste. Pani byłaś świadkiem, gdy przybił ostatni nocny statek do portu.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, przerwana mimowolnym wykrzyknikiem, zdradzającym wewnętrzne usposobienie młodej dziewczyny.

— Jakże zdumiewającym jest ten świat!

Dla nich rzeczywiście świat był pełen zdumiewających zagadek, lubo może nie w tem znaczeniu, jakie słowom swoim nadawała Nella. Przebyli szczęśliwie niezwykle ciężkie próby, płynęli po morzu małą, jak łupina orzecha łodzią; żadne z nich nie wiedziało, co im zaczęty dzień przyniesie; Ariberta zwłaszcza niepokoił los dostojnego synowca. Pozbawieni przez długie godziny pożywienia, odczuli głód dotkliwie, a jednak... jednak nie pragnęli pośpieszyć chwili wylądowania. Mimowoli zrodziło się w ich sercach pragnienie, aby tak we dwoje płynąć mogli do nieskończoności, aby fale unosiły ich daleko ku nieznanej krainie czarów. Czem to wytłómaczyć? Oboje byli młodzi, oboje pełni życia, zdrowia, temperamentu, a płynęli jedno obok drugiego! Ona czarowała go urokiem piękności, bogactwa, on olśniewał ją blaskiem wysokiego urodzenia i dowodem męskiej dzielności.

Każda jednak podróż prędzej czy później skończyć się musi, i łódź wreszcie stanęła w przystani. Książę skierował ją ku najbliższym schodkom, przywiązał linę do kółka na brzegu i wysiedli oboje. Była godzina szósta rano; niewiele jeszcze ludzi krążyło po ulicach.

— Co dalej robimy? — zapytał książę. — Muszę panią odprowadzić do hotelu.

Od pana zależę w tej chwili — odparła z tak słodkim uśmiechem, iż patrzącemu na nią Aribertowi krew silniejszym prądem uderzyła do serca. Spostrzegł, że była zmęczona, wyczerpana, że nastąpiła reakcja po przebytych wrażeniach.

W hotelu Wellington zaspanemu szwajcarowi, książę oznajmił, iż przyjechali rannym pociągiem z Bruges i żądają zaraz śniadania. Na śniadanie było zbyt wcześnie, ale sztuka złota, wsunięta do ręki kelnera, w każdym hotelu belgijskim cudów dokazać może; niebawem Nella i książę zasiedli w werandzie, gdzie podano im czekoladę, spożywaną z apetytem.

— Nigdy nie piłem równie dobrej czekolady! zawołał Aribert.

Dowodzenie było bezzasadne, gdyż hotel Wellington nie słynie z dobroci tego napoju; mimo to Nella przytwierdziła żywo:

— To samo powiem, co książę; wyborna czekolada.

Nastąpiło milczenie; panna Racksole uznając w duchu, że zbyt gorąco wychwalała zalety śniadania, dodała chłodno:

— Muszę bezzwłocznie telegrafować po papę.

Ten właśnie telegram skłonił Teodora Racksola do zaniechania wycieczki z ajentem śledczym Marshellem.

XVI.

Dama w czerwonym kapeluszu.

— Musimy nad jedną rzeczą naradzić się wspólnie, mój książę — oświadczył Racksole.

Siedzieli we troje: książę, milioner i jego córka dokoła stołu w oddzielnym gabinecie hotelu Wellington. Racksole przypłynął statkiem, przychodzącym w popołudniowej porze, a w przystani czekali na niego Aribert i Nella. Podczas obiadu młodzi ludzie opowiedzieli Amerykaninowi przygody swoje na lądzie i morzu, Racksole zaś, nie zapuszczając się w szczegóły, wspomniał tylko, że ciało Dimmocka zostało odnalezione.

— W jakim względzie naradzić się mamy?— pytał książę po uczynionej przez milionera uwadze.

— Trzeba nam postanowić, czy wypada o wszystkiem, co zaszło, donieść policji, czy też działać na własną rękę i odpowiedzialność. Musimy obmyśleć stanowczo plan postępowania. Przezorność zdaje się wskazywać potrzebę wtajemniczenia policji, której całą sprawę poruczyć należy.

— Oh! papo! — zawołała Nella ze zwykłą sobie żywością — nie mówisz tego chyba na seryo? Gra, tak zajmująca, zaczęta dopiero.

— Nazywasz zajmującą grą wypadki zeszłej nocy? — zagadnął Racksole.

— Niewątpliwie — odparła stanowczo.

— Nie dzielę tego zdania— rzekł krótko milioner. Miał na myśli niewygodnie spędzoną noc na windzie.

— Nie sądzisz pan — odezwał się Aribert, rozłupując zwolna orzech włoski — że moglibyśmy sami prowadzić dalej śledztwo, a dopiero w razie, gdyby nam się nie powiodło, byłby czas przywołać policję?

— Od czego chciałbyś książę zacząć w takim razie? — dowiadywał się Racksole.

— Od domu, do którego panna Racksole weszła tak odważnie wczoraj wieczorem — mówił Aribert, rzucając na młodą dziewczynę pełne uwielbienia wejrzenie. — We dwóch zwiedzilibyśmy cały budynek szczegółowo.

— Dziś wieczorem?

— Tak jest; dałoby się tam co zrobić może.

— Byleśmy nie zrobili zbyt wiele...

— Co pan chcesz powiedzieć?

— Moglibyśmy przypadkiem zastrzelić kogo, lub też wziętoby nas za rabusiów. Postępek bezprawny nie dałby się tem tłómaczyć, że bronimy dobrej sprawy.

— Ma pan słuszność — przyznał książę — mimo to...

— Mimo to nie rad książę wtajemniczać policję w ten interes. Chciałbyś sam wytropić złoczyńców, niby zapalony myśliwy, goniący za zwierzyną. Wszak prawda? Zechciej jednak posłuchać rady starszego wiekiem człowieka i nie przystępuj tak gorączkowo do rzeczy. Nie mam ochoty narażać się na niemiłe eskapady dwie nocy z rzędu. Co do ciebie, Nello, ruszaj mi zaraz do łóżka. My z księciem wychylimy jeszcze parę kieliszków, jeśli znajdziemy tu możliwe do picia wino.

— Nieznośny dziś jesteś papo, — oburzała się młoda dziewczyna.

— Nie przeczę — odparł miljoner — nie mogę ci darować twojej awanturniczej wycieczki. Niegodziwie względem mnie postąpiłaś; gniewałbym się na dobre, gdyby nie to, że jestem zawojowanym przez córkę ojcem. Dobranoc. Już dziewiąta. Książę, mam nadzieję, nie weźmie ci tego za złe.

Gdyby młoda dziewczyna nie czuła się tak znużoną, książę Aribert byłby świadkiem małej sprzeczki między Amerykaninem a jego samowolną jedynaczką, tym razem jednak Nella zastosowała się do woli ojca, odeszła posłusznie, a mężczyźni pozostali sami.

— Teraz — rzekł Racksole, zmieniając nagle ton mowy — służę księciu na projektowaną nocną wycieczkę. Mówiąc szczerze, postąpilibyśmy źle bardzo, zasypiając sprawę. Pragnąłem tylko usunąć Nellę i oszczędzić jej większego znużenia. Trudna to do kierowania dziewczyna. Uprzedzić muszę księcia — dodał, śmiejąc się wesoło — że jeśli zdołamy wykryć jaką tajemnicę dzisiejszej nocy, musimy zataić to przed moją panną, inaczej oberwałoby się nam od niej po uszach. Czy godzisz się pan na to ryzyko?

— Godzę się — odparł Aribert z uśmiechem — lubo zdaniem mojem, panna Racksole posiada niezwykle silne nerwy.

— Niewątpliwie — potwierdził Racksole — wolałbym nieraz nawet, iżby je miała mniej silne.

— Przejęty jestem najszczerszym dla córki pana uwielbieniem — oświadczył książę, patrząc miljonerowi prosto w oczy.

— Zaszczyt to dla nas — rzekł Racksole — ale wróćmy do interesu. Czy nie mylę się, przypuszczając, że niewyjawione powody jakieś wstrzymują księcia od wtajemniczania policji w tę sprawę?

— Nie przeczę — odpowiedział Aribert z twarzą chmurną. — Obawiam się, że mój biedny synowiec wpadł w kłopoty, które wolałby zataić przed światem.

— Nie sądzisz książę, iżby on stał się ofiarą intrygi?

— Nie zdaje mi się to prawdopodobnem.

(C. d. n.).

Czytelnie. 1) Klimatyczna czytelnia czasopism, w biurze Komisji klimatycznej, otwarta cały dzień, bezpłatna.

2) Wypożyczalnia w księgarni Zwolińskiego.

3) Czytelnia czasopism i wypożyczalnia książek Stowarzyszenia „Czytelnia Zakopiańska“, willa Polanka obok poczty. Dla członków bezpłątna, dla obcych abonentów za opłatą 3 Kor. miesięcznie. Cały dzień otwartą.

Poczta otwarta od 8-ej rano do 12-ej w poł. i od 2-ej do 6-tej popoł., w niedzielę od $8^1/_2$ do $11^1/_2$ rano i od 3 do 4 popoł. W niedzielę i święta w godzinach popołudniowych nie można nadawać przesyłek pocztowych i ani odbierać, ani nadawać przekazów pieniężnych. **Telegraf** otwarty jest od 7-ej rano do 9-ej wieczór bez przerwy. **Telefon** funkcyonuje w tych samych godzinach, co i telegraf. **Listy roznoszone są** o 8-ej rano i 4-ej popoł. **Paczki rozwozi się** o 8-ej rano i o 4-ej popołudniu. Za rozwożenie paczek pobiera się opłatę: od paczki do $1^1/_2$ kg. 6 hal., do 5 kg. 10 h. do 10 kg. 20 hal, nad 10 kg. 30 hal.; jeśli jest kilka paczek bierze się jedną należytość od najcięższej, a od reszty po 6 hal. bez względu na wagę.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	o 9 min. 2 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	o 7 min. 5 rano. o 4 min. 5 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	o 9 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	o 6 min. 6 rano o 4 min. 40 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	o 9 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa:	o 2 min. 31 po poł.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	16/9	17/9	18/9	19/9	20/9	21/9	22/9
Termom. such.	15·4	12·3	17·6	16·8	12·5	10·9	8·2
„ wilg.	14·5	11·9	15·1	13·5	11·5	5·3	4·2
Ozon	7	10	10	9	9	10	10
Term. maxim.	36	21·2	36·4	30·2	30·2	30·5	25·5
„ minim.	14·8	15·5	13·8	10	9·5	7·5	2·1
Term. na bar. .	21·0	15·3	20·1	18·1	16·2	14·2	12·2
Barometr . . .	697·9	699·4	701·2	700·2	702·4	702·3	702·8
Kierun. i szyb. wiatru . . .	— 3	WWN2	—	WWN	WWN	WWN	WWN
Stop. zachmurz.	0	0	—	0	4 kłęb.	4 kłęb.	0
Wysok. opadu	0	0	1	0	0	0	0
Uwagi	pogod.	pogod.	—	pogod.	pogod.	pogod.	pogod.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. **Redaktor odpowiedzialny:** Dr Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.